Nr. 15. We Lwowie dnia 13. kwietnia 1896. Rok 4.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki „Kurjera Lwowskiego"

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

STANISŁAW JACHOWICZ

(urodzony dnia 17. kwietnia 1796. r., umarł dnia 24. grudnia 1858 r.).

W setną rocznicę.

Popularność niełatwo się zdobywa. Czyje imię jest powszechnie znanem, tego i zasługi dla ogółu muszą być wielkie. Ale czasem jeden czyn znakomity, jeden odbłysk genjuszu, zyskuje rozgłos i przechowuje się do potomności.

Jakżeż podobna zasługa różni się od tej, którą zaskarbił sobie Jachowicz nie wielkością genjuszu, ale cichą, skromną, niewidoczną prawie pracą dla dobra i szczęścia braci bliźnich.

Dla biednych rozbitków społeczeństwa, rzuconych na los, jak ziarno przez wiatr zaniesione, dla rzemieślników i czeladzi był ojcem i opiekunem, on pierwszy dał popęd do tej gałęzi literatury bujnie dziś rozrosłej, którą nazywają ludową.

Nie ten wielki, co łzy wyciska, lecz kto je ociera. Jachowicz nie dawał wielkich jałmużn pieniężnych, a przecież był największym jałmużnikiem Warszawy. Wszelkie ochronki i szkółki dla sierót, wszystkie zakłady dobroczynne w tem sercu narodu polskiego, zawdzięczają mu swój byt lub rozwój.

Na skromnem stanowisku nauczyciela w domach prywatnych i na pensjach, w szkółkach najbiedniejszej dziatwy zasiewał cnotę, krzepił serca, wznosił ducha do jasności. Wziąwszy z góry światło, dzielił jego promienie na tysiączne atomy, rozpraszając niemi cienie w duszach dziatek. I tam, gdzie dla nas widnokrąg zachmurzony, on śród burzy sterował spokojnie do celu.

Jako autor bajeczek i powiastek, tej najpopularniejszej formy poezji, był prawdziwym aniołem opiekuńczym trzech ostatnich pokoleń »najmłodszych«. Pisarzowi, aby się zniżyć do kołyski, trzeba wyrzec się sławy, imienia, trzeba zapomnieć o miłości własnej, trzeba ledwie niezaparcia się samego siebie. Do takiego poświęcenia zdolni są tylko wybrani, taką ofiarę swoich sił i zdolności złożył na ołtarzu maluczkich, Jachowicz. Tak więc i w piśmiennictwie był wielkim przez to, co go czyniło niepospolitym działaczem społecznym: zdobywał najwyższe uznanie całkowitem wyrzeczeniem się samego siebie.

Na polu wychowawczem zarówno dziatwy, jak ludu, w dziedzinie społecznej i humanitarnej szły u niego zawsze w parze słowa z czynami. Był kapłanem biednych i maluczkich, niosąc nie tylko naukę, ale i wsparcie tam, gdzie była największa potrzeba. Założywszy szkółkę w »Towarzystwie Dobroczynności« starał się kształcić sieroty na dobrych rzemieślników. A nawet gdy wychowańcy jego dostawali już chleb, jako czeladnicy lub majstrowie, i wtedy nie zapominał o nich. Odwiedzał dawniejszych uczniów, długo nieraz z nimi rozprawiał, dowiadywał się o ich potrzebach, od nich samych uczył się niejako ich przywyknień aby módz potem wpłynąć na swych wychowańców i na cały zawód rzemieślniczy.

W tym celu pisał nietylko ulotne piosenki i wierszyki, ale i oddzielnie wydał dla nich trzy tomiki Rozrywek i rad. Piosnki jego o Szewczyku i kominiarzu skuteczniejszemi były dla rzemieślników od obszernych morałów kaznodziei. Jachowicz bowiem umiał nietylko trafić do serca biednej i upośledzonej części społeczeństwa, ale umiał utwory swe rozpowszechniać, co było nie małą tych usiłowań zasługą, płynącą wprost z serca i charakteru autora. Sam był lubiany, więc i pisma jego zyskiwały miłość u ludzi.

Cichy, skromny, nikomu nie wchodzący w drogę, dla każdego grzeczny i usłużny, jeżeli się komu naraził, to chyba w imieniu biednych sierót. Dobroczynność jego nie liczyła się też z względami własnych potrzeb, ani potrzeb rodziny. Dowiedziawszy się o nagłem osieroceniu uczenicy, którą znał tylko z pensji, wziął ją do siebie i miał o niej staranie, aż do pójścia za

mąż. Po śmierci siostry żoninej, przyjął w dom swój czworo sierót, wychowując je pospołu z własnemi dziećmi. Później jeszcze jedną sierotkę hodował przy synach swoich. A ileż to biednych panien poumieszczał w różnych zakładach naukowych za pracę swoją? Ile tysięcy przeszło przez jego ręce, »o których nie wiedziała lewica«, na założenie warstatów, dla poczynających robotników, dla rzemieślników podupadłych i wdów po nich, na różnego rodzaju bied tę!

Zobaczył u jakiego malarza lub w domu prywatnym obraz i już go miał w sali Towarzystwa Dobroczynności, a dzienniki głosiły, że za parę groszy na rzecz biednych, oglądać można dzieło mistrza polskiego. Jakiś rzemieślnik zrobił »majstersztyk«, wnet mogła go obejrzeć ciekawa publiczność, dając grosz wdowi dla sierót. Przechadzki odbywała Warszawa po ogrodzie Saskim i Krasińskich, korzysta z tego Jachowicz i zatrudnia tam swoich wychowańców w podawaniu wody przechodniom. Z tego powodu napisał nawet wierszyk, odbił go w znacznej ilości, a dochód z niego przeznaczył... wszak wiecie dla kogo?

Trudno tu wypisywać tysiące pomysłów Jachowicza w przysporzeniu pieniędzy dla biednych. Wspomnę tylko, że zebrał ogromne sumy. Na wystawienie domu sierot »wyżebrał« w krótkim czasie do 80,000 złr. Liczbę 12 sierót, utrzymywanych przez Towarzystwo Dobroczynności podniósł do 170, którymi się sam opiekował! Jego to stosunkom i zabiegom zawdzięcza Towarzystwo znaczną część zapisów i ofiar, stanowiących obecnie fundusz wieczysty.

Gdyby przyszło porównywać, w czem był Jachowicz wyższym, w dobroczynności, czy w nauczaniu, prawdziwie trudny byłby wybór. Jak oddawał biednym wszystko, aż do koszuli — tak wysilał się moralnie, aż do utraty zdrowia, pragnąc przelać w drugich wiedzę i cnotę. Wpływ jego nauk — na pensjach zwłaszcza żeńskich, jest doniosły. Z jego szkoły wyszły: Eleonora Ziemięcka, Józefa Kamocka, Walentyna Kowalska, Marja Ilnicka, Walentyna z Trojanowskich Horoszkiewiczowa i tyle innych, których, prace wierszem i prozą mieści trzytomowy »Wieniec«, uwity na cześć Jachowicza. Nie ograniczając się nauką po pensjach i stronach prywatnych, zajmował się zakładem moralnie zaniedbanych dzieci: nie ustając w staraniach i opiece nad instytucją szkółki sierót, należał do pierwszych organizatorów ochronek dla dzieci. A nietylko słowo, ale i pióro poświęcał wychowaniu. Obdarzony szczególnym talentem przemawiania do pojęcia serca wieku młodocianego, wydał dwadzieścia kilka tomów różnych powieści i wierszyków dla dzieci, redagował dzienniczek, pisał elementarze, układał piosenki, kalendarze, gry, przysłowia, obrazki, pamiątki, modlitwy, zabawki itp.

Skądże brał czas do kreślenia tylu dziełek, kiedy dni całe od rana do wieczora spędzał na lekcjach? Oto przechodząc z domu do domu, z wykładu na wykład, myślał o ważniejszych wypadkach, zaszłych podczas nauki, zastanawiał się nad objawami uczuć dziatek, i przechowywał to wszystko w kochającem sercu, ogrzewając ciepłem miłości twórczej. Tym sposobem z każdej przywary lub zalety dziecka, z każdej odpowiedzi naiwnej, z każdego słówka dowcipnego, jakby z żywej formy, odlewał stosowny wierszyk, bajeczkę lub artykulik. Dla tego to cieszyły się rzeczy jego taką popularnością, bo dawał dzieciom to, co zebrał na ich własnej niwie, przystrojone tylko wstążeczką morału. Bo cnotę stawiał obok religji na pierwszym planie i dla niej poświęcał wszystko.

Zasługa Jachowicza nie ogranicza się darem niewinnej, a serdecznej poezji, którą przemawiał do duszy ukochanych dziatek. Ma on jeszcze prawo do stanowiska, które dotychczas niedostatecznie oceniono. Idąc śladem swego mistrza, Kopczyńskiego, oddawał się filozoficznym badaniom mowy ojczystej, w której znachodził niedostrzeżone dotąd piękności i głębie. Pomny zasady św. Augustyna, że »przez poznanie rzeczy przychodzimy dopiero do zrozumienia wyrazów«, dawał przewagę myśli i jej przyrodzonym prawom nad głosem i tą drogą wznosił się do zasad gramatyki powszechnej.

Przy tem świetle porównawczem prostował różne błędy metody nauczania, budził w uczniach myśl — a nie przytłumiał jej wyjątkami reguł, — dowodząc, że język rozwija się podług praw wspólnych wszystkim ludziom. Używał nauki języka polskiego, której udzielał we wszystkich prawie zakładach prywatnych, jako klucza do innych nauk, wyłuszczając logikę mowy ludzkiej w słowie, niby w ziarnie zawartą. Stąd prostota i jasność jego wykładu, którego nachwalić się nie mogą jego uczniowie i uczenice, stąd odrzucenie przezeń terminologji, stającej niby murem, przez który ożywczy powiew mowy ojczystej nie może dotrzeć do serca dziatwy.

(Dok. nast.)

Z krainy zaniedbanej.

[Ciąg dalszy].

Po zatem zresztą — jeśli wyłączymy organizacją kościelną i gminną, tudzież etapy niektóre osadnictwa pierwszej i drugiej epoki dziejowej, panowanie polskie i węgierskie nie zostawiło widomych śladów na Spiżu, zwłaszcza w kierunku etnograficzno-narodowym; ani administracja polityczna, ani szkoła do niedawnych jeszcze czasów nie wycisnęły piętna wyraźnego,

a więc nietylko dzisiejsza szkoła madjarska, ale i dawniejsza Polska ze słynnem gimnazjum Pijarów w Podolińcu na czele, choć jej wychowawców do dziś spotykamy nie tyle na Spiżu, jak wśród szlachty galicyjskiej i górali podhalskich. Lud Spiski pozostał tem, czem był. Ślad pozostawili Niemcy, osadzani tu przez Polaków i Węgrów, a przyznać trzeba, że ślad mniej szkodliwy w kierunku narodowym, a więcej pożyteczny w kierunku społecznym i kulturalnym. Z wyjątkiem może paru starych osad: Starej wsi, Gniazd, Podolińca, prawdopodobnie Lubowli, wszystkie inne osady miejskie i znaczna część wiejskich założone zostały przez Niemców. Oni wytrzebili lasy, poprzerzynali gościńce, rozwinęli handel, przemysł i rolnictwo. Znaczenie, władza i siła ich, a przedewszystkiem odrębność i solidarność przejawiają się tak dosadnie, że zwierzchnictwo, przedstawiciel ich *Comes Saxonum* nietylko występuje obok reprezentantów królewskich i cesarskich — takich starostów Lubowli lub hrabiów Spiżu, ale pertraktuje z obu rządami i z dworami, jakby książe udzielny; ba, królowie Węgier i Polski ubiegają się niekiedy sami o pomoc tego lub owego miasta niemieckiego w rozterkach wzajemnych lub walkach zewnętrznych.

Dziś te ślady biją w oczy nietylko jako wspomnienia i zabytki przeszłości, ale też jako siła aktualna. Nie wielkie są te miasta niemieckie pod Tatrami, ale jaka ich ilość wielka i jak wyglądają? Gdy dokoła pomiędzy niemi wśród żywiołu słowiańskiego nieporadność, ociężałość, zaniedbanie i ubóstwo, maskowane przepysznym sztafażem tatrzańskim i wdziękami natury górskiej, każde takie miasto, czy miasteczko — to środowiska fabryczne i kulturalne, z bijącemi u góry słupami dymu nieustannej pracy ludzkiej, a rozpościerającemi u dołu wyniki tej pracy: porządek, zamożność, schludność nieposzlakowaną wraz z pewną elegancją, przypominającą miasteczka nadreńskie lub francuskie. Większe takie miasteczko posiada oświetlenie gazowe lub elektryczne, czytelnię, kasyno, teatrzyk, kilka towarzystw akcyjnych, tyleż oczywiście piwiarni, ale i własny organ prasowy, własną gazetę, również oczywiście niemiecką. Bo też na całych tych przestworzach rozumnego mieszczaństwa od piwnic aż do strychów nic innego nie widać i nie słychać jeno niemieckie urządzenia i niemiecką mowę, z których — dla miłego spokoju, w rodzaju haraczu bułgarskiego sułtanowi — czyni się na rzecz zwierzchnictwa węgierskiego ustępstwo, w dodaniu niekiedy napisu madjarskiego na szyldzie lub zaklęcia *à la baraton*.

A jednak co to za siła żywiołowa musi być aborygenatu słowiańskiego, kiedy mimo owej tyloletniej organizacji niemieckiej, mimo niemieckości całkowitej centrów miejskich, mimo przewagi kulturalnej Niemców, mimo nareszcie braku wszelkich wpływów pokrewnych, oderwania się Spiża od Polski i pozostawienia go jego własnemu losowi, lud wiejski nie zgermanizował się. Co więcej, te wsie, które z pewnością zostały ongi założone przez Niemców, dziś wcale nie są niemieckiemi. Taki np. Katzenwinkel dziś Kacwin, Dürrenstein — Dursztyn, Frankenau — Frankowa, Frydman, Falsztyn itd. na lekarstwo nie pokażą Niemca, chyba, że niekiedy zabłąka się wędrowny. O Madjarach nawet mowy niema, bo chyba jeszcze mniej który z nich tu zaglądnie. Czemże więc jest ta ludność? Wyjąwszy trzech osad w dorzeczu Dunajca, jak Lipnik, Osturnia

---

1)

Dr. FAUST.

OBRAZEK.

— Prawda, zmysłom się wierzyć
[nie powinno,
Lecz ostatecznie, gdzież masz pe-
[wność inną?

Bayron.

I.

Świece się dopalały — winciarze kończyli partję.

Szczęście nie służyło Oborskiemu: w trzech robrach przegrał około trzystu rubli, w czwartym dwa razy został bez dwóch, a teraz ma w ręku same śmiecie i dwa walety!

Niepowodzenie gospodarza psuje humor grającym: gra idzie bez werwy, bardzo spokojnie. Fificki, który prawie całą wygranę zagarnął, czuje się trochę zażenowanym; podczas szlema spotniał, jak w łaźni i rozbolały go odciski; nie mógł przecież gry schować do kieszeni. Oborski to rozumie, a jednak, ile razy spojrzą na siebie, Fificki mimowoli spuszcza wzrok przed porcelanowemi oczyma gospodarza.

Jeżeli tak dalej potrwa, orżnie go na jakieś pięćset rubli! Oborski sknera, chciwiec, przytem wzorowy rolnik i zacięta bestja, długo mu nie zapomni przegranej! Teraz, gdy się ożeni z Prottówną, będą sąsiadowali z sobą na wsi o miedzę i to od najsłabszej strony, bo od pastwiska. Biedne krowy, świnie i owce! W imię ich spokoju i bezpieczeństwa Fificki rad byłby całą wygranę przegrać do Oborskiego. A tu znowu los wsunął mu w rękę dziewięć karo, dwa asy, króla i asa w przykupnej!...

— Szczęśliwi narzeczeni w karty grywać nie powinni! — żartuje z Oborskiego, usiłując osłodzić mu drugiego szlema.

Oborski przegrywa z tym samym spokojem, z jakim na ostatnich wyścigach strzelił w łeb koniowi za to, że złamał nogę, zanim dobiegł do mety. Wie, że go nazywają »anglikiem«, to też ma długą, czerwoną twarz, starannie ogoloną, rude bokobrody i skórzaną dewizkę; mówi zwolna, krótkiemi zdaniami, a ruchy ma tak sztywne, jak każdy dystyngowany lokaj spanoszonego bankiera.

i Folwark, które są skolonizowane przez Rusinów, tudzież dziesiątka wiosek ruskich w dorzeczu Popradu, przeważnie w części międzybeskidowej, — reszta około stu wsi i pomniejszych miasteczek przedstawia kompaktną ludność szczepu zachodnio-słowiańskiego wyłącznie katolików, oprócz siedmiu wiosek tegoż szczepu — protestanckich. Mówię tu na razie o tych terytorjach, które wchodziły w sferę państwową Polski, a pomijam okręgi, przylegające bezpośrednio do Lewoczy od północy tudzież wschodnie i południowe od tej stolicy komitatu i żupaństwa spisskiego, bo choć i tu prowadziłem studja etnograficzne, ale nie zakończyłem szerszych folklorystycznych.

Już po Janocie w literaturze polskiej, a Szemberze — w czeskiej, którzy choć bardzo pobieżnie wiedzieli o istnieniu żywiołu polskiego na Spiżu, spotykamy się z przepysznemi pracami nie tylko turystów przygodnych, ale nawet uczonych, którzy wyborne dają opisy orografji, flory i fauny tatrzańskiej, zaliczając do tej ostatniej — ludność Spiża.

I tak np. jeden z nich — jeśli się nie mylimy — Warszawiak, a z pewnością naturalista, podając przed 13 laty bardzo ciekawe szczegóły w »Pamiętniku Towarzystwa tatrzańskiego«, o Jamie Wyziewowej pod Magórą, tudzież znajdowanych niedaleko granatach, kryształach, ba, nawet bursztynie, tak się wyraża o ludzkiej osadzie tamtejszej:

»Zdziar (tj. Żdżar, Żar, po góralsku Zar — jutrzenka) — niegdyś zamieszkany przez Niemców, dzisiaj samymi Słowakami osiadły, jest to rozległa wioska i t. d.«

Drugi turysta, już krakowiak, pracujący nad bibljografją przy redakcji jednego z największych dzienników polskich, robi wycieczkę do Kezmarku i na całej tej drodze, począwszy od Jurgowa również widzi i słyszy samych Słowaków, z czem nie omieszka podzielić się z czytelnikami również w Pamiętniku Tow. Tatrz.

Kto będzie kiedy w Żarze, a nie zechce patrzyć li tylko na turnie białe, lecz może i łaskawym okiem rzuci na chodzących po ziemi ludziach, temu radzę — jeśli już niema czasu lub ochoty zaglądać do chałupy, to niech na godzinkę zatrzyma się w gospodzie, a z pewnością posłyszy taką np. piosnkę:

Takom se ja frajereczko nalaz,
Jakby ją wymalował malarz:
Carne ocka, biełe licka miała,
Jesce se ich pomalować dała.

Jeśli go zdejmie wątpliwość co do czystej polskości pieśni ze względu na chwiejne mazurowanie lub przejście jať starosłowiańskiego nie w *a*, *(ia)* lecz *e* (ie), to niech poczeka, a posłyszy taką:

Z góry, z góry, nie z wysoka
Skocył djabeł do potoka,
Do takiego głębokiego,
Co nie wyńdzie nigdy z niego.

Czyli co do jednego brzmienia tak samo, jak na Podhalu tę samą piosnkę śpiewają.

Ale nawet angielskie pozory mylą czasami.

Oborski wścieka się i klnie w duszy, że siadł do kart z osłami, z których każdy jest dziesięć razy bogatszy od niego, każdy gra dla przyjemności jedynie, podczas gdy on chciałby i potrzebuje wygrać.

Dziwna rzecz! Od czasu jak został »szczęśliwym« narzeczonym bogatej dziedziczki, szczęście opuściło go na wszelkich punktach... Przesądnym nie jest, zaczyna jednak wierzyć, że ta dzika kotka przyniesie mu nieszczęście... zaczyna się jej obawiać... Już po pierwszym robrze, ot tak, niby żartem, wyrzucił jej fotogram z kieszeni, a od tej chwili każda z czterech dam ma jej czarne, dzikie oczy i tajemniczo-drwiący uśmiech...

Karty denerwują, od godziny łeb mu trzeszczy z bólu, ręce drżą, jak u pijaka. Wypił szklankę wody, drugiej wypić nie śmie: osły posądzą go o wzruszenie z powodu przegranej!

— Eh bien, co pan nam powie, panie sąsiedzie?

Wpatrzył się po nad kartami w zakłopotaną twarz Fifickiego.

Szlema przyjął z miłem zdumieniem; rzucał dalej kartę za kartą, panując z całych sił nad drżeniem ręki.

W gabinecie cisza. Gracze znużeni już trochę ziewają raz po raz; Fificki spogląda na zegar, jedenasta dochodzi, wcześnie! Ale on już trzecią noc spędza przy winie!... Oborski liczy mu ostatniego robra, pod koniec odgrywa się czasami; tak bywało dawniej, ale od czasu, jak się zaprzedał tej... zdechły mu dwa konie, pies wściekły pokąsał gończych.

— I zgrywam się jak szewc! rozmyślał z zaciśniętemi wargami — za dużo mam szczęścia w miłości!...

Oparł głowę na ręku.

Fificki kreślił i przekreślał rachunki, dwaj partnerzy obliczali swoją przegranę; on nie liczył, pamiętał każdy grosz... Czuł się strasznie znużony. Od dwóch tygodni siedzi w mieście, ekwipuje się przed ślubem. Wydał znacznie więcej, niż zamierzał, a wszystko napróżno! Dziś otrzymał list od opiekuna narzeczonej z oznajmieniem, że ta dzika chce zostać po ślubie w Jaworze. „Chce!« Łatwiej zdmuchnąć piramidę,

O Jurgowie nie mówię, bo każdy kto bywał w Zakopanem, musiał słyszeć, że u górali podhalskich piosnki jurgowskie stanowią osobny dział charakterystyczny, a tak ceniony przez Dr. Chałubińskiego, Kleczyńskiego i Paderewskiego — zarówno w melodji, jak w słowie.

(Dok. nast,)

Alfred Tennyson.

Zamek Locksley.

Bracia, chwilkę mnie zostawcie,
ledwie świt śród niebios smug —
Pozostawcie, a gdy trzeba,
niech zawoła mnie wasz róg.

Tu to miejsce; tu, jak dawniej,
głos bekasów leci w dal,
Z bagnisk mgły się ciężkie wznoszą,
płynąc ponad Locksley-Hall.

Locksley-Hall, co szczyty swoje
nad piaszczysty wznosi ścieg —
Ponad fale oceanu,
co się z hukiem rwą o brzeg.

Noc niejedną z okna tego,
nim spoczynku nadszedł czas,
Spoglądałem tam! na Zachód,
Gdzie Orion zwolna gasł.

Noc niejedną na Plejadach
wypoczywał wzrok ten mój,
Lśniących we mgle, jak robaczków
w srebrnej sieci złoty rój.

Nad brzegami jam tu chodził,
karmiąc górną młodość mą
Czarodziejską wiedzy baśnią,
tem, co dawne dni nam ślą.

Kiedy za mną szereg wieków
niby plenny leżał łan;
Gdym się wdzierał w teraźniejszość,
której siew przyszłości dan;

Kiedym wnikał w dni, co idą,
ile starczy ludzki trud,
Zobaczyłem obraz świata
i nowego czasu cud.

Wiosną zięba naodziewa
swoją pierś w czerwieńszy puch,
Wiosną główkę w nowy grzebień
stroi czajka, kręcisz — zuch!

Wiosną gołąb rozpościera
bardziej lśniące skrzydła swe,
Wiosną młodzian ku miłości
swą się całą duszą rwie.

---

niż przełamać upór wiotkiej, jak trzcina, dziewczyny! Wyśnił się zapewne duch matki... Usłyszała głos jakiś... albo miała jasnowidzenie!...

Histeryczka!

Zacisnął pięść pod stołem.

W Jaworze odwieczny niby — pałac, odwieczne sprzęty, szkapy, służba, głusz odwieczna, w której nawet w starego djabła uwierzyć można! Skoro on ma gnić czas jakiś w tej głuszy, pocóż tyle wydał na meble, uprząż i powozy?

Naszczęście skorzystał z nieobecności doktora Fausta i stanął w jego mieszkaniu. — Drobnostka to, ale na drobnostki był stokroć wrażliwszy, niż na większe wydatki; zaoszczędził kilkanaście rubli. Za to sypia podle w tym pustym domu, gdzie jak duch pokutujący, snuje się dziwak Struś, karmi ptaki i podlewa rośliny.

Obejrzał się na drzwi.

W progu, na tle oświetlonego przedpokoju, stał Struś, mały, szczupły, w szarem ubraniu, w czerwonym fezie na głowie, z rękami w kieszeniach spodni. Spoglądał na obłok dymu nad głowami graczy, to na pyszne storczyki w wazie na oknie.

Podrzucił ramionami. — Otworzył jedno, potem drugie okno, wychylił się do ogrodu i splunął w ciemną przestrzeń. W gabinecie powiał świeży powiew jesiennego wieczoru. Gracze niezadowoleni obejrzeli się na otwarte okna, Fificki posunął ręką po spotniałem czole.

Oborski udał, że tego nie widzi, nie chciał wszczynać rozmowy z tym gburem, który na każdym kroku dawał mu do zrozumienia, że zbyt się rozgospodarował w cudzem mieszkaniu.

Struś stał w otwartem oknie, wpatrzony w czarne wierzchołki drzew na gwiazdzistem niebie.

Faust może wrócić dziś, jutro, a tu dom cały przemienią w stajnię i skład tandety! W sieni, w przedpokoju uprząż, w jadalni liberja, wszędzie potrochu garderoby i różnych rupieci! Pies i pan wysypiają się kolejno na wszystkich kanapach i łóżkach. Tatarska poufałość, oparta na jakiemś tam pokrewieństwie.

(D. c. n.). *Ostoja.*

Blade wówczas miała lica,
że się starszym wiek jej zdał,
A za każdym moim krokiem
swe promienie wzrok jej słał.

»Kuzyneczko moja Amy!«
rzeknę do niej — »prawdę mów:
Byt mój cały k'tobie zwrócon,
niema kłamstwa śród mych słów«.

Skroń i lica jej pobladłe
oblał naraz kolor róż,
Jak to światło, które-m widział,
to północnych światło zórz.

Odwróciła się, a pierś jej
od gwałtownych rosła tchnień,
W jej zamglonych oczach naraz
Zabłysł duszy jasny dzień.

Rzekła: »Kryłam swe uczucia,
gdyż twój gniew by na mnie spadł. —
Ty mnie kochasz!« — potem płacząc:
»Ja cię kocham już od lat!«

Miłość wzięła kubek czasu
swą gorącą dłonią wpół,
Każdy moment, jak żwir złoty,
lekko wstrząsan, zeń się suł.

Miłość wzięła harfę życia,
by w ton silny struny sprządz,
Uderzyła w strunę »jaźni«,
tak że pękła, dzwięcznie drżąc,

Z bagnisk ku nam co poranku
słał szelesty swoje krzew,
Pełnią wiosny w moich żyłach
ten szumiący brzmiał mi śpiew.

Śledziliśmy co wieczora
pyszne statki śród fal wód,
Dusza z duszą się zlewała,
Gdy całunek wargi splótł.

O ma Amy! już nie moja!
Serce ciasne i bez skry!
O wy smutne, smutne bagna!
pusty, pusty brzegu ty!

Wyobraźnia fałsz twój zgłębi?
Słów dla niego pieśń ma dość?
Niewolnico groźby ojca!
Ludzka cię przemogła złość!

Godzi-ż ci się życzyć szczęścia?
Wszak mnie znała dusza twa,
A zniżyłaś się do gacha,
Co gminniejsze serce ma.

Tak się stanie: coraz niżej
spadać będziesz dzień za dniem,
Aż szlachetność wszystką stracisz,
z nim się zrównasz w błocie tem.

Jakim mąż jest, taką żona:
z tobą śluby zawarł gbur —
Za prostaczą swą naturą
W błota cię powiedzie tór. —

Gdy namiętność pierwsza zgaśnie,
nieco mniej mu będzie wart,
Niźli żona, koń przy żłobie
albo gończy jego chart.

Cóż to? oczy mgłą mu zaszły —
nie od wina, Boże broń!
Spełń powinność, pieść i całuj,
dłoń mu zamknij w swoją dłoń.

»Pan mój zmęczon, zbytek myśli
tak mu, widać, czoło gnie:«
Idź i rozbaw! krotochwila
Niech wesołość w niego tchnie!

Coś bełkoce w odpowiedzi —
zrozumiale mówi on!...
Lepiej było-ć umrzeć przed tem,
lepiej mnie twój sprawić skon!

Lepiej było nam obojgu
w cichy uścisk ręce spleść
I tak skończyć bok przy boku,
niż to życie hańby wieść!

(D. c. n.). Przeł. *Jan Kasprowicz.*

DROGI DÓŁ.

(Z cyklu poezji prozą: Łzy i uśmiechy).

(Dokończenie).

Mały Hryńko, co wrócił wieczorem do domu, to mniej pamiątek po ojcu zastawał. Tapczan spalono, bo w nim — siedziała choroba; kożuch sprzedano, bo w nim siedziała choroba; zabielono ściany, bo i po nich snuła się choroba... Była w tem słuszność, lecz serce dziecka nie rozumowało, tylko chętnieby tuliło się do starych gratów, wśród których żyło i biedowało z rodzicem. Chłopak płakał nad niknącymi sladami przeszłości, a gdy jeszcze szybki nowe w oknach zabłysły, gdy wniesiono wysoko usłane łóżko Marty, a pod jedną ścianą

stanął stół, pod drugą ława — wszystko się zmieniło, nie miał po co tu przychodzić po wspomnienia. Zdaleka nawet, prawie już chaty nie poznawał, bo szara dawniej, dziś pobielona na niebieskawo, była mu jakaś inna, jak obca.

Skąd się tak naraz pieniądze wzięły na te przeobrażenia, nie wiedział; czy to były oszczędności, czy nowe przypływy, nie umiał zbadać. Marta narzekała dalej do niego na złe czasy i o zarobek jego pytała, z którego oddawał jej połowę, a drugie dziesięć, czy dwadzieścia groszy dziennie, chował, składał na krzyż dla ojca, i to go jedynie w okolicy trzymało, bo młode siły i ciekawa dusza rwały się do lepszej, droższej roboty w świat. A gdy dostał stałe zajęcie przy Sokołowieckiej fabryce, rzadko pokazywał się w chacie, gdzie i tak spotykał nowych, nieznanych sobie ludzi, a gdy wspomniał o ojcu, chmurzyła się Marta, milkła rozmowa, żywa jego pamięć o rodzicu zatarła się widać w duszy kobiety, dawno potynkowanej świeżemi wrażeniami, jak te pobielone ściany w izbie.

Ze wspomnień po zmarłym, została Hryńkowi tylko pieśń, słyszana tyle razy, więc przy robocie, wśród warczących maszyn, wśród zgiełku i wrzawy mruczał półgłosem ojcowskie westchnienie:

Smutny chožu, ne wesełyj, bidnyj czołowik...

Aż raz, w jesieni, krzyż zabielał na mogile Lipkatego, a wyrostek piętnastoletni wszedł do chaty poważny i stanowczy.

— A co? — spytała ostro Marta, wstając z ławy, na której siedziały dwie sąsiadki, a dwóch chłopów stało pod okienkiem, kurząc łajki.

— A co? — dawnoś nie był... kędyż się włóczysz?

Chłopak spojrzał bystro po obecnych, przenikliwy nad wiek, odczuł tu jakiś targ i układy, czy swaty, bo i starosta gminny był i diak, a wystrojona Hanka stała podedrzwiami, na podwórku, przesuwając paciorki na szyi, niecierpliwa i niezadowolona z przybysza.

— Ja nie włóczęga, chociażeście mnie z mojej chaty tak prawie, jak wygnali... Robotę dobrą miałem... krzyż ojcu na grobie postawiłem... teraz idę w świat... też na pracę, lepszą jeszcze... z panami jadę do większej fabryki... Wrócę... chaty mi pilnujcie! zdrowi bądźcie?

— Patrzcie go! ze sprawą przyszedł! — pisnęła ze złością Marta, — więcej tu mojej krwawej robocizny, zdrowia, siły, życia, płaczu, niż twego drzewa w chacie! — Wszystko to jednym tchem wyrzuciła. Hryńko zakrzyczyć się nie dał, lecz zwrócił się do mężczyzn:

— Słuchajcie wy, dobrze żeście tu, starosta, diak, akurat świadki mi się trafiły! Chata jest — moja! takie jest moje dziedzictwo i taka wola ojca była. Moje papiery są u pana, we dworze, a odpisy u pana dyrektora w fabryce, oni mnie nie dadzą skrzywdzić. Ja matkę spłacę, a do — Hanki mi nic. Ojciec z głodu prawie marł, gdyście we dwie skrzypiały nowymi butami, a korale w skrzynce dusiły, żeby myślał, że ich niema! Znam was! Bóg z wami! Wrócę prędzej, niż myślicie?

Uniósł się gniewem i wychodząc, chciał trzasnąć z całej siły drzwiami, ale się wstrzymał... tyle, tyle razy drzwi te zamykał ostrożnie, żeby ojca drzemiącego nie zbudzić, i cicho, jak dawniej, przymknął starą klamkę... Na podwórku obsypała go krzykiem Hanka, nie przebierając w słowach. Ale Hryńko, zadowolony z siebie, odparł tylko szyderczo:

— Ja nie lubię, jak mi sroka na moim płocie skrzeczy! Używajcie, póki nie wrócę!

Poszedł, widzieli go przez okienko, jak wsiadł na furkę, wiozącą i dwóch innych robotników, obrócił się ku cmentarzowi, kapelusz podniósł w stronę białego krzyża i znikł na zakręcie drogi.

Marta niepokoiła się czas jakiś, no, a potem przestała; dobrze jej się działo; krowa, drób, kawał pola, zarobek, składały się na spokojne życie, jedwabne chustki znów odbijały od czarnych kosmyków, korale jednak przeniosły się na szyję Hanki, bo teraz Marta myślała o »pierwszym« dla córki, przekładając dla siebie chatę — po trzecim, niż niepewny — czwarty los. — Przyszły ogromne urodzaje, wytańcowywała Hanka mołdawankę i kozaka na prażnikach, zawracała kozacze głowy, ale jakoś trudno jej było znaleść — jednego zawsze. Bali się jej chłopi. Kraśna i zimna, jak matka, skora do łez i do targu, co kiedy było trzeba, strojna i rozbałamucona, zdradzała dużo podobieństwa do swego rodzica Bunczuka. Na tle zimnego serca wrzał niepohamowany temperament; zaciekawiała śmiałych mołojców, ale nie przykuwała do siebie. Szeptano między sobą: — »No, ta, to ze sześciu pochowa!« — i nikt nie chciał iść pierwszy, na próbę. Gniewało to Martę, złościło wewnątrz Hankę, ale brnęła dalej w życie, wesoło i zawadjacko, używając, hulając, póki czas.

A dalekiemi drogami, po świecie, wędrował młody Hryńko; pracowity, zdolny, zręczny, choć jednooki, zarabiał, składał, oszczędzał, myślał, tęsknił do wioski, do chałupy, do krzyża, kędy ojciec... Wspomnienie rodzica, spełnienie jego woli, przynajmniej po śmierci, kiedy za życia nim tak terano, powrót do swego kawałka ziemi stał się główną, przewodnią myślą chłopca. Powtarzał sobie po stokroć słowa chorego: »Chata twoja, rozumiesz?« — Moja! zarobię... wrócę... tamtych spłacę... osiądę... Marzył o tem i dojrzewał, szlachetniał pod działaniem czystego przywiąza-

nia, chłonąc w siebie równocześnie powoli nowe wiadomości i doświadczenia, towarzyszące pracy w wielkiej i wzorowej fabryce. Ale nadewszystko, chłopskiem sercem tęsknił do ziemi i najchętniej w jednem swem zamykał się marzeniu.

W tych prostych duszach, jak z kawała razowego chleba wypieczonych, nie roi się od planów, pożądań i zamiarów; lecz gdy raz ten kawał chleba umacza się w popiele, piołunie lub miodzie, to już cały tem przejdzie nawskróś, bez usiłowań nad zmianą wewnętrznych warunków, uparcie nieraz trwając w złem lub dobrem... Dusza Marty, w suchym, bezpłodnym piasku sobkostwa zanurzona, nie dała nikomu ciepła ni pokarmu; dusza Hryńka w goryczy życiowej tonąca, wyczerpana, strawiła się w sobie, w jednym wielkim zawodzie życiowym, nie usiłując wznieść się nad siebie; a młody Hryńko w upartej do ojca miłości, od dziecka mężniał, wytrwale dążył do celu, korzeniem tkwiąc w chłopskim gruncie, pracował w oddali, aby wrócić; dojrzewał w cieple swego uczucia, które go czyniło miłym i lubionym przez ludzi. I, może dojdzie kiedyś... nie prędko zapewne... Tymczasem ów »drogi« dół zarasta zielem, wiosny zasiewają na nim burzan i cząbry pachnące, obok krzyża przyjęła się, ongi zasadzona, dnia pierwszego, przez dzieciaka, gałęź wierzby, i już krzyż przerasta, a między jej liśćmi, śpiewają ptaszki, jakieś — echa stepowej dumki...

Smutny idu, ne wesełyj, bidnyj czołowik...

Szczęsna.



Rozbiory i sprawozdania.

»Bismarks Mahnworte an das deutsche Volk v. dr. Hans Blum.

Bismarkowe upomnienia i ostrzeżenia do narodu niemieckiego, zestawione przez dr. Bluma, wydane w Erlangen bardzo starannie, stanowią szereg zdań, zapatrywań, odpowiedzi lub wyzwań — wypowiedzianych przez Bismarka w parlamencie lub w aktach urzędowych, począwszy od r. 1848 do 1895. Historyk zatem, czy autor zestawiający te »skarby« jak je nazywa, sięgnął nawet po za okres urzędowej karjery Bismarka, ażeby nic nie uronić.

Przyjrzyjmy się tym skarbom. Przeważna część sentencii daje obraz męża stanu, którego dusza rozmiłowała się w absolutyzmie i który odeń tylko spodziewa się zbawienia Niemiec.

Kiedy mimowoli przychodzi na myśl porównanie tych upomnień z upomnieniami np. »mów Fichtego« do narodu niemieckiego, to owe starsze dostają skrzydeł, tchną jakiemś ożywczem hasłem, budzącem do życia, gdy natomiast mowy Bismarka nakładają pęta, ściskają piersi obręczem z żelaza i zdaje się, że po przeczytaniu ich widzi się napis płomienny: *Lasciate ogni speranza.*

Niezliczone są okazje, przy których dziękuje Bogu, że duch ludu pruskiego jest »do szpiku kości monarchiczny«. — Dowcip, wspomagany kłamstwem, napadał Bismarka zawsze, ile razy odzywał się o Polsce. Podobnie w r. 1867, gdy na protest wcielenia Wielkopolski oświadczył, że Polak w ciągu dziejów republiki polskiej nigdy nie doznawał takiego bezpieczeństwa, jak pod panowaniem pruskiem od lat stu, że na całym świecie, niema więcej, jak $7^1/_2$ miljona ludności polskiej, która przeważnie mówi po rosyjsku itp. Dostał się atoli i Rosji komplement od przyjaciela. Słowiańskie plemiona są nieproduktywne. Rosjanie nie potrafią bez pomocy Niemców nic ważnego dokazać.

Rok 1871 zajmuje w książce kilka kartek, a sprawa polska kilka stronic, na których są tak bezpodstawne, lubo zuchwałe argumenta Bismarka, że dziś zdziwienie ogarnia, gdy się widzi po kilku ustępach tych mów zaznaczone: oklaski. Niema też nic tak smutnego, jak bezmyślność reprezentantów narodu, posiadającego przecież wielkich myślicieli i wielkich poetów.

W roku 1886. motywował Bismark potrzebę ustawy kolonizacyjnej w Ks. Poznańskiem. Autor przytacza całe to charakterystyczne motywowanie. Gdyby nie okoliczność, że aż do znudzenia zajmuje księcia ta przed laty tak według niego mizerna, a teraz nagle potężna i przebiegła narodowość polska, to wartoby przypomnieć i owe motywa. Dość atoli przytoczyć zdanie, że według Bismarka »agitacja polska wzmogła się i prosperuje jedynie w skutek dobroduszności niemieckiej. Tylko bowiem Niemiec potrafi w skutek tej dobroduszności nie tylko wyskoczyć z własnej skóry, ale przeobrazić się nawet w cudzoziemca i przejąć jego aspiracjami«.

Jakkolwiek twierdzi, że aspiracje polskie są mrzonką, która się nigdy nie urzeczywistni, ostrzega atoli jeszcze i w r. 1895:

»Pamiętajcie, że jeśli Polacy odrzucają jakikolwiek projekt, to składają tem świadectwo, że mógłby on prowadzić do wzmocnienia państwa niemieckiego«.

W innem miejscu wypowiada: »Bez Poznańskiego nie moglibyśmy się obyć bardziej, niż bez Alzacji, dlatego jesteśmy gotowi bronić naszej wschodniej granicy z poświęceniem do ostatniego żołnierza i ostatniego grosza w kieszeni. Jeśli śpiewamy o straży nad Renem, to tak samo o straży nad Wartą i Wisłą. Możemy atoli nauczyć się jednej rzeczy od Polaków, to jest niezłomnego obstawania przy swojej sprawie bez różnicy stronnictw. Pragnąłbym, ażeby rodacy moi mogli jak najrychlej stłumić w sobie resztki sympatji dla polskości, dla spolonizowania, gdyż dla nas wszystko co polskie, jest partją przewrotu.»

Z drukarni Z. Golloba we Lwowie.